

W obronę Rzymowskiego

To jest wprost okropne, jak niektóre pisma przypięły się do p. Rzymowskiego.

Mój Boże!

Raz w życiu człowiek palnął głupstwo i tego mu do końca życia darować nie mogą.

A przecież p. Rzymowski po prawia się z każdym dniem. Oto przykład: W niedzielnym „Dzienniku Porannym” widnieje wiersz satyryczny W. Rzymowskiego z cyklu „Dzienniki Warszawskie 1937 r.”. Zaczyna się ten wiersz od mocnych i znanych słów:

— „Niedługo, gdzieś tam tęgie pyski...”

Znamy to. Czytaliśmy to zdanie w „Weselu” Wyspiańskiego. Ale tym razem musimy uchylić czoła przed uprzejmością i lojalnością p. Wincentego, który obok tych słów postawił gwiazdkę, a pod spodem wyjaśnienie.

Brawo! Żeby to tak od początku i żeby to tak wszyscy przyjaciele i dawni przeciwnicy Rzymowskiego!

Jeż przykrości dąłoby się uniknąć. Szpikowałby każdy swoje artykuły i powieści gwiazdkami, pod spodem objaśnienia dawałby, które zdanie do kogo należy. To — Roussel, to — Piasecki, to — Grimm...

I nikt nie mógłby mieć pretensji.

Życie kulturalne

LITERATURA

NIETYDANE DZIEŁA VOLTAIRE'A

Wychodzące w Moskwie „Literaturnoje Nasledstwo” donosi, że w najbliższym czasie będą opublikowane te dzieła najświetniejszego z prozaików francuskich, które zostały odnalezione w Leningradzie. Znajdują się między nimi fragmenty tragedii „Don Pedro”, drobne utwory poświęcone Szuwalowowi, w których Voltaire omawia swoje poglądy na literaturę dramatyczną, oraz znaczna liczba listów. (Pi).

BOLESŁAWSKI I REYMONT
Karl Korn omawia w jednym z ostatnich numerów „Die Tat” przekłady z języków obcych na niemiecki. Pisze tam m. in.:
— Sein Buch hat Phythmus und Glanz. Aehnlich glänzend und brillant schreibt Richard Boleslawski („Lanzer nieder”)... Jego książka (Reymonta o r. 1794) posiada rytm i błyskotliwość. Podobnie błyskotliwie pisze Ryszard Bolesławski.
Chyba jednak nie tak bardzo podobnie. (Pi).

O NAUCZE NA ŚLASKU

Nakładem Instytutu Śląskiego ukazała się w serii „Polski Śląsk” praca prof. Aleksandra Birkenmajera p. t.: „Astronomowie i astrologowie ślascy w wiekach średnich”.

Nowa praca znakomitego badacza dziejów nauki prof. Birkenmajera przynosi nowe nieznane materiały do dziejów nauki na Śląsku. Autor omawia działalność naukową śląskich astronomów i astrologów w wiekach XIII, XIV i XV, podkreślając, że w wiekach średnich astronomia i astrologia były ze sobą ściśle związane.

Frontem do tego lub owego! brzmią dzisiejsze modne hasła! Frontem do własnego szczęścia stanie ten, kto zaopatrzy się w los do pierwszej klasy czterdziestki loterii!

Wśród czarnych sal łoży „Janusa”

Jak urzędowali „bracia” Królewskiego Rytu w łoży bydgoskiej?

W Bydgoszczy przy Watach Jagiellońskich, w małym, niepozornie dziś wyglądającym domku, znajduje się dawny lokal łoży masonskiej „Janusa”, jednej z czterech istniejących w Bydgoszczy.

W SIEDZIBIE „JANUSA”

Łoża „Janusa” powstała w roku 1798 i należała do łoża t. zw. „Rytu Królewskiego”, które gromadziły zamężne mieszczanństwo niemieckie i junkrów pruskich. Dziś lokal łoży Janusa stoi pusty, bo sama łoża została rozwinzana. W Bydgoszczy pozostały więc tylko trzy łoża: „Oid fellow” przy ul. Libelta 8, gdzie gromadzą się żywości lewicowe i żydzi, łoża im. Emanuela Scheltzera (Kraśnickiego 13) i „Schlarffia” (Gdańska 20).

Skromny budynek, w którym mieściła się łoża Janusa, jakże inaczej wygląda od strony ul. Długiej. Wysoki płot broni dostępu niepożądanym. Za nim w ogrodzie piętrowy dom, wyglądający na wiejską siedzibę arystokratyczną, mieścił sale zebrań „Braci Królewskiego Rytu”.

DWIE CZĘŚCI DOMU

Cały gmach podzielony był na dwie części: część dostępną dla wszystkich, nawet niewtajemniczonych i część drugą — do której prawo wstępu mieli tylko „bracia”.

W pierwszej części poza restauracją, zaopatrzoną w bogatą składkę win najprzedniejszych gatunków, jak: „Rheinischer Goldberg”, Ingelhei-

mer”, „Chat Meuseil” — mieściły się sale do kart, sala bilardowa, oraz dwie sale balowe.

APARTAMENTY WTajemniczo-nych

Szerokie, drewniane schody prowadziły na piętro, gdzie rozpoczynają się apartamenty wtajemniczonych. Najpierw portiernia, skąd stałe urzędujący portier pilnował wstępu, oceniając krytycznym okiem każdego z wchodzących. Dalej szatnia, gdzie w małych zamkniętych szalkach „bracia” chowali swoje stroje uroczyste: fartuszyki, kielnie i t. p. Na każdej z szafek tabliczka z nazwiskiem.

Na pierwszym piętrze dla niewtajemniczonych była jeszcze dostępna sala zabaw i wielka sala balowa, ozdobiona freskami. Nierzadko wśród malowideł powtarzają się emblematy masonskie: kielnie, trójkąty i sześcioramienna gwiazda. Na tym końcu się część gmachu, dostępna dla wszystkich, a przede wszystkim dla tych, spośród których „bracia” wyławiali kandydatów do łoży.

3 CZARNE POKOJE

Następna część gmachu rozpoczynała trzy niewielkie sale bez okien, całe wyłożone drewnianą boazerią, pomalowaną na czarno. Czarny jest również sufit i podłoga. Tu, w ciemnościach kandydat do łoży otrzymywał pierwsze wtajemniczenia przechodząc kolejno z pokoju do pokoju. Tu wreszcie również odbywały się zebrania „braci”, grupujące masonów na jednokrotnym stopniu wtajemniczenia.

W małej sali tronowej wszystkie okna są również ściśle zasłonięte, a ściany obite płótnem. Za czasów, gdy urzędowali tu „rycerze kielni”, podłoga sali tronowej wyszlaczona by-

ła dywanami, tłumiącymi każdy krok. Dziś pozostał jeszcze tylko wysoki tron ustawiony między oknami, skąd wielki mistrz przyjmował nowoświeżających.

„J. S.”

Dalej przechodzimy do sali „Wielkiej Rady”. Seledynowe obicia ścian, zasłonięte szczelnie okna, masywne, podwójne drzwi i bogato ozdobne podium, z którego wielki mistrz przewodniczył Radzie, tworzą jakiś niesamowity nastrój. Nad tronem wielkiego mistrza litera „J. S.” o niewyjaśnionym do dziś znaczeniu. Rada zasiadała przy stołach ustawionych w podkowę. Z planu gmachu umieszczonego na jednej ze ścian, dowiadujemy się, że w seledynowej sali zasiadało 78 „braci”.

Sala zebrani ogólnych obłożona na 100 miejsc, wyapetowana jest w kolorze ciemno-niebieskim. Takimiż zasłonami przesłonięte są okna, a na tle granatowego sufitu złoć się gwiazdy. Na środku wielka sześcioramienna gwiazda masonska.

DYGNITARZE ZA KRATA

W głębi sali estrada oddzielona od reszty grubą żelazną kratą. Tutaj na siedniu bogato rzeźbionych fotelach zasiadał wielki mistrz i najwyżsi władze. W fotelu wzmontowano lampy elektryczne oświetlające dygnitarzy masonskich podczas zebrania. Prawdopodobnie przy zebraniach ogólnych sala była ciemna, a jedynie światła w fotelach rzucały blask na oblicza dygnitarzy.

Po zlikwidowaniu łoży postanowiono gmach sprzedać. Nabył go reemigrant z Ameryki p. Julian Górzyski, który ma zamiar cały gmach wykończyć praktycznie. W sali karcianej,

bilardowej i małej sali do zabaw mają powstać składy, w dawnej kuchni — fabryka sody.

„Artystyczny” bałagan Fest. walu Sztuki Polskiej

W niedzielę zakończył się reklamowany szumnie, choć nieudolnie Festiwal Sztuki Polskiej. Owe „niezliczone” (według czerwoniaków) tłumy turystów rozjechały się do swych wsi i miasteczek, organizatorzy spoczęć mogą na laurach i sporządzić bilans swej działalności. Nareszcie znikną z Rynku Starego Miasta mętne dekoracje i „artystyczne” stragany kiermaszowe.

Kiermasz artystyczny był jednym wielkim nieporozumieniem. Nie było to właściwe określenie na to, co działo się na Rynku Starego Miasta. W niedziele sklepanych budach, sprzedawcy produkujący się normalnie w Ogrodzie Saskim, reklamowali krzykliwie przyrządy do ostrzenia żyłek, preparaty do sklepania porcelany i t. p.

Przemysł artystyczny reprezentowany był bardzo ubogo przez paru zaledwie sprzedawców, posiadających na straganach nieco ceramiki ludowej i kilimków. Pochodzenie reszty tych właśnie wyrobów „sztuki ludowej” też wydaje się czasem wątpliwe.

Codzień o g. 4-tej po południu zbierały się na Rynku Starego Miasta tłumy ludzi, ściągnięte tu chęcią zobaczenia filmów artystycznych oraz widowiska p. t. „Przekupka Warszawska”.

Cóż to były za filmy artystyczne? Pokazywano filmy z ostatnich pięciu lat, filmy zdarte, o złym już zupełnie udźwiękowieniu, wyświetlane na nieodpowiednim ekranie. Obraz filmu zacierał się, tworząc szarą plamę, z rozstawionych na Rynku głośników szła istna kakofonia dźwięków.

Zasadniczo „darmowemu i koniowi w zęby się nie patrzy”. Publiczność specjalnej pretensji nie miała. Ale, jeżeli urządzi się imprezę mającą roz-

powszechniać kulturę umiłowanie sztuki wśród społeczeństwa, to należy podawać to w formie prawdziwie pięknej.

Widowisko, jakie pokazywano codzień o g. 21-szej, „Przekupka warszawska”, było wystawione bardzo pracowicie. Znaczący był solidnie przygotowanie. Razły jednak przede wszystkim dekoracje, sklecone ad hoc przez p. Cegielskiego, oraz pewna nienaturalność kompozycji scenicznych.

Omówienie koncertów, przedstawień teatralnych oraz pozostałych imprez zamieszczaliśmy w czasie trwania Festiwalu. Tu należałoby jeszcze dorzucić parę słów na temat zareklamowania całego przedsięwzięcia. Zajmował się tym Związek Propagandy Turystycznej. Nikt się teraz nie będzie dziwił, że turystyka polska jest tak źle propagowana za granicą. Najlepszy dowód nieumiejętności przeprowadzania akcji propagandowej dał Zw. Prop. Turyst. właśnie przed i w czasie Festiwalu. Przynajmniej jedna trzecia mieszkańców Warszawy nie wiedziała w ogóle o Festiwalu, jedna trzecia zaledwie pobieżnie знаła z prasy codziennej program dnia, reszta zaś, nieliczni wtajemniczeni, wiedzieli dokładnie jakie korzyści i rozrywki może im przynieść nabycie karty uczestnictwa Festiwalu.

(Zil.)

Cztery gablotki

W PAL-u zorganizowano z racji Festiwalu Sztuki „Wystawę Książki”. Jedną z gabłotek, w której umieszczono dzieła Wyspiańskiego, Zeromskiego i in. nosi tytuł: „Otworcie nas!”.

Jedno z pism upominało się już za... „nianiemi”, proponując jeszcze jedną gabłotkę poświęconą nianiom.

To jednak jeszcze nie załatwia sprawy.

Proponuję dalsze następujące gabłotki:

„Nasze nianie”.

„Nasze materiały” (Roussel i t. p.).

„Nasze posady” (tą gabłotką opiekuje się sekretarz P. A. L.).

„Nasze protesty” (zbiór jedynych oryginalnych utworów).

Te cztery gabłotki — uważam — znakomicie ułatwią publiczności poznanie współczesnych wielkości...

Chociaż?

Kto wie z jakich źródeł czerpali jeszcze swe „natchnienia” nasi nieśmiertelni.

Szczęśliwe miasto

Niewielkie miasteczko Semer Hil w stanie Pensylwania jest słynne w całej Ameryce z tego, że nikt z mieszkańców tego miasta nie odczuwa braku pieniędzy. Toteż jedyni istniejący tu bank musiał się zlikwidować.

Dyrekcja banku ogłosiła obszerną odezwę dla akcjonariuszy, w której stwierdza, że: 1) rachunki bieżące i codzienne wkłady banku wzrastają z dnia na dzień, 2) w ciągu całego roku nie było ani jednego zgłoszenia o pożyczkę, 3) w tych warunkach bank nie może istnieć, bo musi płacić procenty i utrzymywać ad-

ministrację, a dochodów nie posiada. Nawet ci mieszkańcy miasta, którzy grają na giełdzie, nigdy nie przeprowadzają operacji na kredyt, lecz nabywają cenne papiery za gotówkę, chociaż dyrekcja banku ogłosiła tak korzystne warunki, jakich nie daje żaden bank na terytorium Stanów Zjednoczonych. Kapitał zostanie zwrócony akcjonariuszom, ale tylko w wysokości 75 procent wartości akcji, bo reszta pójdzie na pokrycie kosztów administracji i innych wydatków związanych z likwidacją banku.

(b. g.)

Jesień w parku



Liście opadają...

JACEK BRZEZINA

44)

PANI NA PUSTYNNYCH SZLAKACH

POWIEŚĆ

Otoczający go ludzie byli przeraźliwie spokojni. Byli pewni, że jeniec prędzej czy później zacznie mówić, pustynia zaś nauczyła ich cierpliwości.

Achmed skinął na Youssefa i jednego z Arabów. Złapali cni jeńca pod pachy i postawili oko w oko z panią d'Anduston.

Nie patrzył jej w oczy. Wiedział, co w nich wyczyta i nie kwapił się do tego.

— Radzę ci, mów! — słowa były krótkie, ostre. Znaczenie ich było zupełnie zrozumiałe.

Jednak jeniec milczał dalej. Może chciał zyskać na czasie? Lub namyślał się nad słowami, które będzie musiał powiedzieć czy później powiedzieć?

— Nie chcesz sam mówić, wobec czego zmusimy cię do tego. Pamiętaj tylko, że przeklinasz tę godzinę, kiedy twoja matka na świat cię wydała.

Milczenie.

Tom podziwiał opanowanie pani d'Anduston, która nie uderzyła nawet jeńca, lecz gdyby widział z bliska jej uśmiech, skrzywienie ust, dowiedziałby się, że beduin wolałby dostać najgorsze bicie, niż trwać w niepewności tego, co będzie.

Achmed, stojący z boku, podniósł leżącą na podłodze deseczkę i począł spokojnie, z premedytacją strugać z niej cienkie patyczki. Też się nie śpieszył. Najcharakterystyczniejszym w tym obrazie, jaki Tom oglądał z góry, był spokój.

jakaś leniwa perversja ludzi, którzy wiedzą, że nikt im nie przeszkodzi w uczynieniu tego, czego chcą.

Jeniec, wodząc wzrokiem po glinianej podłodze, natknął się nagle na leżące u nog Achmeda wióry. Drgnął! Spojrzał na dziesięć gotowych już patyczków i skreślił w sobie na myśl o tym, co go czeka. Musiał już widzieć i pośrednio odczuwać męki tych, którym wsadzano pod paznokcie palce się drzazgi. Gdyby tego nie widział, nie załamałby się tak prędko.

Zwiotczał w dzierzgach go silnie rękach przesładowców. Opuścił go podtrzymujący ciało i duszę hart.

— Powiem, Sitt — zaskamlał.

Lekceważąco wykrzywiły się twarze Arabów, uśmiech zwycięstwa zawisł na ustach pani d'Anduston.

— Za jedno kłamstwo czekają cię męki stokroć okropniejsze, niż te, jakie dotychczas znałeś!

Jeniec nie wątpił o tym.

— Na brodę proroka przysięgam...!

Tom sięgnął po rewolwer. Sprawa począłyna wchodzić na niebezpieczne tory. Powstrzymał go Sęk. Ze złością spojrzął na archeologa, jednak znaczący ruch ręką po szyi, jaki ten wykonał, uświadomił Tomowi powagę chwili. Sęk miał rację. Tutaj trzeba było przede wszystkim ratować siebie.

Jeniec mówił, jak Mohammed Toufik Khalel dał mu parę sztuk złota i kazał ukraść noż Achmedowi, jak to uczynił w restauracji Habiha, jak Mohammed go pochwalił i dał rozkaz uważania na wszystkich, co się dzieje w Abou-Kemalu, a szczególnie na fermie pani d'Anduston, którą nazywał córką szakala i geparda... Mówił drżącym, załamującym się głosem, skamlał o litość, zdradziłby rodziną matkę czy syna...

Słuchacze mieli wyraźnie dosyć. Jeniec pod strażą dwóch Arabów, został odprowadzony na bok.

Youssef zbliżył się do swojej pani:

— Sitt, Mohammed bawi się dziś u Habiha, mam go przyprowadzić? — Ostatnie słowo było wypowiedziane takim tonem, jak gdyby chodziło o przyprowadzenie barana na rzeź

Oczy pani d'Anduston ciskały płomienie. Nareszcie złapie tego, któremu przepowiedziała, że hieny i szakale będą miały uczyć na jego ścierwie.

— Dawaj go tutaj natychmiast! — wybuchnęła niepohamowaną nienawiścią. — Tylko całego!

Youssef znikł. W sali zapanowało milczenie. Czuć było, że atmosfera naładowana jest elektrycznością, że za łada powodem poczną padać gromy.

Tom spostrzegł nagle, że jest sam. Sęk ulotnił się gdzieś, jak kamfora. Nawet schody nie skrzypnęły... Zaklął. Archeolog zostawił go w sytuacji nie tylko trudnej, lecz wręcz niebezpiecznej. Nie mógł przecież polegać tylko na sympatii czy też uczuciu, jakie żywiła do niego pani d'Anduston. W razie przyłapania większą rolę odegrałby strach, że wiedząc za dużo, może coś zdradzić... Wiedział z doświadczenia, że strach może pokonać nawet najgorętszą miłość. A Sęk znikł! Droga odwrotu przedstawiała się jako ciemny szlak, którym wchodzili we dwójkę, a którym musi wrócić sam!

Panujące na dole milczenie działało na nerwy.

Jeniec zwiślał jak gdyby bez życia w stalowych kleszczach ramion swych strażników; pani d'Anduston, zaparta w ogień karbidowej lampy, bawiła się prostym nożem arabskim; Feher rysował coś trzciną na kurzu podłogi, od czasu do czasu rzucając spojrzenia na wszystkich obecnych, Arabowie w milczeniu palił papierosa, wpatrzni w ziemię.

Mijały minuty.

Tom w myśli widział, jak wyprawa pod wodzą Youssefa wkracza do hotelu, jak łapią Mohammeda, jak prowadzą go...

Do sali wpadł Youssef. Twarz jego nie zwiastowała nic dobrego.

— Mohammed uciekł!

(D. c. n.).